Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 19. Poznań dnia 6. Sierpnia. **1838.**

Literatura zagraniczna.

Literarische Zustände und Zeitgenossen.

Leipzig bei Brockhaus 1838.

Dzieło to z pozostałych papierów Böttigera przez syna jego wydane, zawiera nader zajmujące szczegóły, które ów sławny niemiecki Parnas Wejmarski po większéj części w nowem świetle i w nagiéj przedstawiają rzeczywistości. Niknie blask otaczający koryfeów niemieckiéj literatury, gaśnie przy téj pochodni, i w naturalne zmienia się światełko, przekonywając nas o téj prawdzie, że największe nawet geniusze, w których nasza wyobraźnia najdoskonalsze upatruje ideały, z blizka widziane, są takimi, jak my ludźmi, z śmieszniejszemi niekiedy przywarami. Jakoż już Jean Paul pisze w liście do Otto: »Zabawiwszy dwa dni w Wejmar, pozbyłem się głupiego przesądu, jak gdyby wielcy autorowie innymi byli, jak my, ludźmi; tu każdy o tem wie, że oni są podobni do ziemi, która zdala na niebie, toczy się jako świetne koło miesięczne; dla tych atoli, którzy po niéj chodzą, jest *boue de Paris* i cokolwiek zieloności bez najmniejszego śladu brylantów i blasku; dodaje więc daléj: odtąd nie nachylę głowy przed żadnym człowiekiem, jak tylko przed najcnotliwszym.

Böttiger ów znany magister Ubique (Wszędobylski), zbierał swoje rysy sam na miejscu i zostawił, jak jego syn pisze, do 20,000 samych listów. Wyjmujemy tu z nich te, które do charakterystyki tak nazwanéj genialnéj epoki, a szczególniéj do początkowego kształcenia się Goethego są ważne.

»Książę Wejmarski August w r. 1775 przejeżdżając przez Frankfurt zaprosił Göthego do siebie; czytał bowiem już dawniéj jego Götza, a upodobawszy sobie ów ton rubaszny staroświeckiego ślachcica od korda, był ciekawy poznać jego autora. Göthe podobał się nadzwyczajnie, i został zaproszony do Wejmar, a pan Kalb, ówczasowy szambelan w orszaku książęcym, odebrał rozkaz zawieźć frankfurtskie ingenium w paradnym bruxelskim powozie do Wejmar. Tak Göthe, gdyby jaki tryumfator wjechał modnym książęcym rydwanem do stolicy, i ulokowany został tymczasem w domu prezydenta kamery, szambelana Kalb. Syn p. Kalb przewidując, że Göthe stanie się w krótce wszechwładnym faworytem osiemnastoletniego księcia, nadskakiwał mu zawczasu i nie miał mu nawet za złe, gdy tenże smalił cholewki do jego wtenczas jeszcze niezamężnéj siostry. Tylko stary Kalb powtarzał groźnie do córki: »dziewczyno z godnością!«

Genialny Göthe nie uwięził swego uniwersalnego geniusza (byłto wtenczas wyraz modny) w wyziewach ciasnéj kałuży, *vulgo* w mieście. Wyrugowawszy więc Bertucha z ogrodu w parku, założył tam swój genialny warsztat.

Wspólność niejaka własności czyniła te geniusze do Kwakrów podobne. Tak Göthe często posyłał po chustkę od nosa do żony Bertucha, a gdy mu brakowało kamizelki lub spodni bombasowych (wtenczas genialnego ubioru), kazał je sobie przynieść z garderoby książęcéj, rozumie się że na wieczne nieoddanie. Cały genialny świat nosił wtenczas fraki à la Werther, a gdy kto nie mógł go sam sobie sprawić, książę także w taki frak przybrany, kazał mu brać miarę i wystrychnął go koniecznie à la Werther; jednego tylko Wielanda uwolnił od téj maszkarady, ponieważ już miał nieco za stare kości. Często książę z Göthem ćwiczyli się na rynku w trzaskaniu; całe godziny hukali z harapników z całéj siły aż do ogłuszenia.

Owdowiała księżna podziwiała także wielki dowcip Göthego i pozwalała mu niekiedy w swéj obecności płatać genialne figle, a lubo na swym dworze pilnie przestrzegała etykiety, lubiła jednak żarty i tak raz np. wyjechała z damami i z całą tą genialną rzeszą wozem w drabiach od siana, z Tieffurt do Fennstädt. W drodze napadła ich burza i stary

Wieland musiał pożyczyć księżnie swego surduta, ponieważ damy były zupełnie letnio ubrane.

Fortuna Göthego zwabiła i inne geniusze do Wejmar. Lenz przybył jednego dnia obdarty, i stanąwszy w gospodzie, posłał natychmiast do Göthego bilecik w tych słowach: »kulawy żóraw przybył i szuka miejsca, gdzieby nogę swoję postawił.« Göthe śmiał się do rozpuku i pokazał kartkę księciu: zaproszono go natychmiast do dworu. Pocieszna to była figurka, niżka, krępa, ale niezmiernie harda i zuchwała. Jakoż Lenz usłyszawszy, że nazajutrz bal maskowy u dworu, kazał sobie przynieść czerwone domino, wszedł śmiało do sali, gdzie tylko dla saméj szlachty wolny był przystęp.

Nim go jeszcze należycie zlustrowano, pochwycił pannę Lasberg (która się, opuszczona od kochanka swego, pewnego Kurlandczyka, późniéj z Wertherem w kieszeni w rzece Ilm utopiła), i zaczął w najlepszą wywijać. Wkrótce jednak gruchło po sali, że miejski wilk wpadł do obory: powszechne powstało zamieszanie. Szambelan Einsiedel pobiegł do księcia, który kazał natychmiast wyprowadzić ze sali namiętnego tancecznika. Pomimo tego jednak oporządzony Lenz, zatrzymany był przy dworze, używany do wszystkich psotnych kawałków przez czas długi, aż nareszcie odprawiony w Emmedingen oszalał.«

Tym tonem opowiada Böttiger daléj tysiączne awantury pierwszych koryfeów literatury niemieckiéj, jako to o Szyllerze, Herderze, Wielandzie i innych; tak dalece, iż nie wiedzieć, czy się śmiać, czy ubolewać nad słabością ludzką, która i w prawdziwie wielkich ludziach tak dziecinnym sposobem wyszumieć musiała.

Osobliwie jednak usadził się Böttiger na Göthego, pokazując jak tenże wyfermentowawszy z pierwszego młodzieńczego szału, w którym mu, jak się wyraża, nie raz prawie w głowie świtało, nagle wystrychnął się na dworaka, w jedwabnéj glansowanéj kamizelce, chapeau bas pod pachą, słowem: na doskonałego filistra. Dla przyjaciół literatury niemieckiéj ta kronika scandalosa może być dość zajmującą.

S.

(Litterar. Zeit. Nro. 6. 1838.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Trzy branki.

Kiedy Turczyn z szablą, strzałą,
Garnął w jasyr czeladź białą,
Trzy popadi naszéj córki
Jął, i z sobą pędził w Turki.

Na rzemieniu, obok koni
Jedną córę biczem goni
Na powrozie z woza praży
Drugą; trzecią wiezie w maży.

Idzie córa przy strzemieniu
Uwiązana na rzemieniu,
Płacze, krzyczy pod niebiosa:
»Kosoż moja złotowłosa!
Nie matka cię splata w sznurek,
Roztrzepuje biczem Turek!«

Idzie córa przy powozie
Uwiązana na powrozie,
Płacz i krzyki śle do koła:
»Nóżkiż moje, nóżki! woła,
Nie matka to was umywa,
Lecz żrą piaski, krew zapływa.«

Jedzie córa w czarnéj maży,
I tak płacze, tak się skarzy:
»Oczyż moje, czarne oczy!
Taki wielki, tak uroczy
Świat przed wami; a was marny
Cień wygryza w maży czarnéj.«

A..*

Rozłączenie.

Za Niemen nam precz!
Ej koniu leć kulą,
Dziewczyno-zazulo
Uściśnij, daj miecz!

— Za Niemen, za Niemen? i czemuż wzajemném
Nie przylgniesz tu sercem? coć wabi za Niemnem?
Czy kraj tam piękniejszy, kwiecistsza tam błoń,
Czy milsze dziewoje, że tęsknisz tam doń? —

Nie lecę do dziew,
Polecę na gody,
Czerwone lać miody,
Niewiernych lać krew.

— Chcesz godów? zaczekaj kochanie ty moje!
Jać gody wyprawię, nasycę, napoję,
Ach, serce ci wierne z tych piersi mi rwij,
Łez moich się napij, i napij méj krwi! —

Dziewczyno stój, stój!
Twe słowa jak brzytwy;
Ja z godu, ja z bitwy
Powrócę, jam twój!

— Nie wrócisz mój luby! nie wrócisz już do mnie,
I serce odwyknie, i pamięć zapomnie;
Patrz, smutno koń rzuca stajenkę i żłób,
Ach, w polu czerwoném niechybny twój grób! —

Gdy w tuczę i mrok
Kruk kraknie w okienko,

Przylecę serdeńko,
W usteczka cmok, cmok!
— Gdy jawor zielony wierzch skłoni we wiośnie,
Kukułka zakuka, dąbrowa żałośnie
Zastęka, a konik to westchnie, to znów
Przypadnie na cztery — już po mnie!.. Bądź zdrów! —

*A***

Filologia, filozofia i matematyka, uważane jako zasadnicze umiejętności naukowego wychowania.

(Wyimki z ważnéj rozprawy pana L.)

(Ciąg dalszy.)

Filologia ma trzy narzędzia działań swoich, grammatykę, hermeneutykę i krytykę. Wprawieni niemi władać, końcem dokładnego zrozumienia dzieł starożytnych, z daleko większą łatwością za ichże pomocą będziemy pojmowali pojęcia nowoczesne i do właściwéj każdemu nauki przystósowane.

Grammatyka jest kluczem zrozumienia języka. Poznana w najdokładniejszéj budowie, w języku greckim, przebija się głównemi formami w łacińskim i w porzymskich językach; do jéj form naginano budowę i osobnych szczepów językowych, z ich poznania, jako najwięcéj udoskonalonych, wynika zatem łatwość grammatycznego pojęcia każdego innego języka. Grammatyka nie uważana tylko jako suchy zbiór prawideł i form językowych, uporządkowanych według zewnętrznych jedynie znamion, ale jako zbadanie języka, będącego emanacyą ducha i usposobienia ludu, wyobrażenia pojęte w przystępne zmysłom przelewającego znaki, będzie umiejętnością wdrożającą nas głęboko w umysłową krainę początku, wzrostu i udoskonalenia pojęć i wyobrażeń, tak że się sprawdzi, co Quintilian już powiedział: *altissimam eruditionem prae se fert grammatica.* Wyrazy języka są to jak mechaniczne środki, w których utajona jest siła umysłowa; im stósowniéj, im z lepszym doborem urobione i użyte, tém wyżéj unoszą umysł, tém potężniejszy dają mu popęd, tém więcéj porywające nad tą niewidzialną siłą zdumienie. Geniusze tylko tą siłą władają. Z tego stanowiska uważana grammatyka przynosi obok praktycznego i formalny użytek.

Drugiem narzędziem filologicznego działania jest hermeneutyka, tak nazwana od wyrazu greckiego hermeneus,*) co znaczy tłómacz, mająca za przedmiot zrozumienie obcych pojęć w téj formie, i w tym składzie, w jakim je druk, czy rękopismo przez znaki zewnętrzne umysłowi naszemu przedstawia. Zrozumieć pojęcia obce, znając już język za pomocą grammatyki, nie jest tak łatwém, jak się wydaje. Wszystkie pisma religijnéj, filozoficznéj i allegorycznéj treści, wszystkie dzieła, w których wyobraźnia przemagającą była pojęć podnietą, są tego rodzaju, że je albo opacznie rozumieć można, albo przynajmniéj z trudnością zrozumieć przychodzi. Każde pismo przedstawia nam rzecz i zmysłową jéj szatę, t. j. wyrazy i formę. Wyrazy same, jako pierwsze ogniwa, z których się składa łańcuch myśli, a tém samém tworzące pierwsze ku zrozumieniu zagadnienia, przechodząc z starożytności do nas, uległy rozmaitym znaczenia zmianom; możnaby powiedzieć, że każdy wyraz ma swoję pod tym względem historyą. Wpływały nań i różnorodność tak licznych jednéjże mowy dyalektów, i sposób używania szczególnych w różnych wiekach żyjących pisarzy, i różność gatunku samego pisma. Dodać tu należy znaczenia przenośne wyrazów, i dla braku pewnéj tradycyi nieoznaczone. Hermeneutyk te wszystkie znaczenia wyjaśnia, i z nich właściwe do każdego szczególnego miejsca znaczenie wyłuszcza. Lexikografia czyli słownikopismo wypłynęło z téj części hermeneutyki.

Krytyka jest dokończeniem filologicznego zrozumienia, i najdoskonalszém filologii działaniem, ona najgłówniéj jéj zasadnicze do innych nauk warunkuje ukształcenie. Nie dosyć poznać język przez grammatykę, nie dosyć zrozumieć objawioną w nim rzecz i formę za pomocą hermeneutyki; potrzeba je jeszcze ocenić, trzeba dociec, w jakim stósunku zostają wyraz, rzecz, forma i autor, do siebie i do towarzyszących im okoliczności, aby dać sąd o każdem z osobna. Na téj tylko drodze nabywamy pojęć prawdziwych, o rzeczach już pojętych, odważamy ich wartość, odróżniamy fałsz od prawdy, pierwiastkowe myśli, od późniéj zmienionych. Oczyszczają dzieło z wszelakich korupcyi, jakiemi je nieumiejętność lub fałszywe późniejszych uczonych zrozumienie skaziły, i podajemy je w tym kształcie, w jakim początkowo wyszło z pióra samego autora. Jest tu pole emendacyi i konjektur, których może nieprzeliczona ilość, będąca płodem albo miałkiego rozumu, albo przesadzonéj, potrzebną erudycyą nie wspartéj wyobraźni, nie nadweręża przecież zasług, jakie ten rodzaj krytyki światu naukowemu przyniósł.

Utworzyła się zatem oryginalna całość stylu i materyi, którą teraz krytyka porównywa z jednéj strony z

---

*) Hermes czyli Merkury jest najbliższém źródłosłowem tego wyrazu. Był on podług Mytologii Greków posłannikiem Bogów, objawiający ludziom ich rozkazy i wolę; był zatém tłómaczem, wyjaśnicielem woli niebian; a że ztąd wynikała potrzeba zniżenia się do zmysłowych pojęć ludzkich, zrobiono go zatém także wynalazcą języków i pisma.

idealem charakteru i usposobienia autora, aby wykazać, że jest jego dziełem; z drugiéj strony z ideałem sztuki, lub prawidłami nauki, aby ocenić wartość pisma. Jedno i drugie połączone jest z trudnościami.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Anusia.

Kilka fantastycznych rysów na tle dziejowém osnutych.

(Skrócone.)

(Dokończenie.)

IV.

Wieczór na pół mglisty, na pół widny. Kilka gwiazd błyszczy na niebie, reszta się skryła w ciemnym chmur płaszczu. Naprzód step rozległy, w tyle zdala w ciemnościach, kiedy niekiedy słup płomienia w górę wyskoczy, to znów się skryje, jak gdyby go kłęby dymu objęły w siebie.

Ale już niebo lekko zaczyna się rumienić, od południa szeroka rozlała się łuna, a przytknąć ucho do ziemi, to słychać jakieś pomięszane gwary, jakiś szmer albo dalekie jednotonne huczenie, coś nakształt, jakby wiatr szumiał, kołysząc staremi lasami. To kozacy zapuszczają swoje pożogi na Podole; a młodzieniec na dzielnym rumaku spoglądał niespokojnie w jednę stronę, jakby kogoś oczekiwał. Mignęło coś w dali, zatętniała ziemia pod kopytem, i już nadobna dziewica, wydawszy krzyk radości, ujrzała się w objęciach ukochanego Stasia. Zdaje się, że wszystkie uczucia duszy w jeden krzyk się zlały, a wszystkie nerwy ciała, w jedne wargi się zbiegły.

I tak w jego objęciu trzymana, obwisła mu na ustach w pół ziemska, w pół nadziemska.

V.

W pół roku przeszło po tym wypadku wielka zamkowa sala pełna była zbrojnego ludu. Na dziedzińcu konie rżały, towarzysze w grupach zebrani rozprawiali żywo. Po za zamkiem obok świeżo ubitych palisad i odnowionych okopów porozstawiane straże. Wszystko ma postać wojenną. Zdala zapewne obóz, bo kłęby dymu srebrzą się promieniami słońca i migają zbroje pancernych.

Na górze w komnacie dwóch mężczyzn siedzi obok siebie:

Jeden przywalony wiekiem, czy nieszczęściem, wsparł łokcie na kolanach, siwą głową z ramion zwiesił i duma. W jego twarzy jakieś niezatarte ślady doznanych cierpień, ale oczy błyszczą jeszcze ogniem życia, jakby ani wiek, ani troski nie zdołały ich przyćmić, a po konwulsyjnych wargach, przebiegnie czasem uśmiech ironii czy wzgardy.

Drugi wlepił w tamtego błagające oczy; ręce wyciągnął do góry: jakby nie mogąc uprosić człowieka, nieba chciał na pomoc wzywać. W jego rysach wydawała się jakaś silna wewnętrzna walka. I istotnie była to walka między służbą, a miłością synowską. To marszałek starościński! .....

Klęczał on przed starostą i starą swoję głowę zniżał do błagania; oczy, które po raz pierwszy zapłakały nad łożem konającéj żony, dzisiaj rzewnemi łzami zalane, łzami, coby kamienie na wskroś przekuły ..... Ale starosta, starzec dumny, niezachwiany, przysięgał w téj chwili przed ojcem, że mu syna zamorduje!

»On córkę mi porwał! zhańbił dom mój! on buntownikiem przeciw własnéj ojczyźnie; i dopóki koń mię nosić, a ręka pałasz dźwigać potrafi, choćby w piekle się ukrył, to i w piekle bym go znaleźć musiał.« —

»Nie, Panie!« rzekł oburzony dumą jego marszałek, »on nie buntownik, on wolny człowiek, o swoje prawa się upomina,« odparł z powagą marszałek.

Bo to już nie był ów dawny dworak. Własnéj godności rozdrażnione uczucie i obawa o syna podniosły duszę i w starém ciele młode zrodziły serce.

»Panie!« mówił daléj marszałek, »mój syn nie skalał, dzięki Bogu, siwéj mojéj głowy. Kochany od starościanki ..... (tak panie! ona miała kogo kochać,) mój syn.«

Nie przeciw ojczyźnie broń podniósł, ale przeciw ciemiężcom i przesądom! podał tylko dłoń bratnią, aby zmazać miotane na nas przekleństwa, aby wstrzymać te miecze, które ostrzy lud uciśniony.«

Tak mówił marszałek starościński, a jego oczy jaśniały natchnieniem nieba, bo przez jego usta głos nieba przemawiał. Zdawało się w téj chwili staroście, który błędnemi oczyma spoglądał na mówcę, iż po nad głową jego świetny unosił się okrąg — i zadumał głęboko. A kiedy powlókł oczyma po izbie — już nie było nikogo.

Tylko odgłos trąbki obił się o jego uszy — wyjrzał przez okno: liczne szeregi kwarcianych stały przed zamkiem, a tłum szlachty wjeżdżał z hałasem po nowym zwodzonym moście. Wybiegł z izby i stanął pośród zbrojnych; a gdy powitał obudwu hetmanów, słowa marszałka przesnuły się po głowie jakby sen, w którym Bóg chciał go doświadczać, azali w tak świetnie zaczętym nie upadnie zamiarze. I nową podniecony zemstą, tworzył plan szerokiéj

rzezi i poddaństwa wolnych jeszcze, bo zbrojnych i silnych duchem ukraińców.

Kończono przygotowania wojenne, a nazajutrz o świcie wszystko co żyje, miało wyruszyć w pole, zostawiając tak obwarowany dwór starościński pod zasłoną małego pocztu, za skład żywności i amunicyi.

Naprożno szukano marszałka, nie widziano go nawet, kiedy wychodził z komnaty, gdzie ze starostą rozmawiał.

Tegoż samego dnia, ogrodnik znalazł więzienie Zosi otwarte.

Pan starosta okazywał twarzą obojętność, zniknienie marszałka i Zosi nazwał drobnostką; ale kiedy się znalazł samotnym, nie wiem, czy to było grą wyobraźni, widział przed sobą marszałka i słyszał jego głos piorunujący: »aby wstrzymać te miecze, ostrzy jeszcze . . . .«

Wtenczas zbladły uciekał, jakby go duch marszałka ścigał, zwracał szybko do tłumu, bo tłum go odurzał tym ruchem, tym brzękiem szabel i kielichów, i tym gwarem rozmów na pół trzeźwych, na pół pijanych; gdzie tysiące złorzeczeń wyzionięto na biedny lud ukrainy.

VI.

Krwawa łuna ponure oświeciła niebo, gore dwór starosty. Wszystkie gumna, śpichlerze i stodoły, wszystkie owczarnie i stajnie, wszystkie pszczół pasieki spłonęły. Nie było komu bronić.

A w poblizkiem miasteczku schwytano młodą dziewczynę, na któréj podejrzenie ciężyło, iż była sprawczynią pożaru. Cóż ją mogło do tego nakłonić? — Spytaj wszystkich podpalaczy.

Nie długo na rozstajnéj drodze wiatr kołysał szkieletem u szubienicy — zapewne ciało krucy objedli.

Pod Korsuniem zeszły się hetmańskie i kozackie pułki. Z obu stron walka zacięta.

Pośród tego zmięszanego obu wojsk tłumu, gdzie każdy śmierć śmiercią odbijał, widać młodzieńca na koniu w kozackim ubiorze z oznakami Assawuły; jak otoczony zewsząd, mieczem sobie drogę do swoich toruje. On chce drogo życie przedać — broni się do upadłego. Każde szabli cięcie na jego się szabli wesprze; ale cięcie jego, tylko na grubych kościach się zatrzyma.

»A tuś - mi psi - synu!« zawołał głos niedaleko i z dobytą szablą natarł na młodzieńca starosta — »ha! nie próżnom cię szukał! a gdzie moja córka?«

»Powiła ci wnuka!« odparł szydersko młodzieniec.

I obaj starli się z sobą. Wszyscy obecni wstrzymali ciosy, jakby czuli, że starosta chce własną ręką zadać śmierć zięciowi.

Ale Stanisław nie naciera, tylko się broni. On zanadto szlachetny, aby chciał przelać krew ojca Anusi. Czy woli ją wdową jak sierotą zostawić?

Ale ręka krwią zbroczona już mu słabnie, lekko ciosy odrzuca, za chwilę może wypuści szablę, już i oczy krew mu oplusła. Starosta się zapala: gdyby go żywego w ręce dostał! o, jakby on się mścił! A przecież nie chce pomocy, onby każdemu wydarł z rąk swoję ofiarę; onby się smucił, gdyby kto chciał podzielać z nim tryumf.

W téj chwili jakiś starzec na białym koniu trzem się kozakom obrania. Leciał w to miejsce, gdzie widział Stanisława. Oni mu drogę zabiegli, po ubiorze szlachcica poznali. Cóż on robił w téj stronie? Wszak od kozackiego leciał obozu, czy to nie szpieg hetmański? — I jeden go w bok ugodził, a on tylko zawołał: »O Boże! mój syn!« i przeleciał rozepchnąwszy napastników, — a zdawało się, że koń jego wiatr w polocie przesadził.

I raz jeszcze słychać było: »To mój Syn!« — a starosta, kiedy osłabionemu już wrogowi ostatni cios miał zadać, krzyknął boleśnie: »Zdrajca!« i upadł między trupy.

Stanisław spojrzał, zadrzał, — starzec na białym koniu był przy nim. Jego piersi zbroczone — zwiesił się z siodła — chwycił młodzieńca za rękę — potem dłoniami piersi nacisnął — szepnął coś z cicha i spadł na ziemię.

Młodzieniec zsiadł, ukląkł nad jego ciałem; a kiedy chciał się podnieść, już zmrok zapadać zaczął, i jego oczy bladły, na czole ssiadła krew szczerniała. Na drżących kolanach zachwiał się, stracił zmysły i potoczył się na ciało zabitego starca.

Nazajutrz dwie młode dziewczęta w poblizkiem miasteczku opatrywały czoło i ramię kozaka, któremu dużo krwi z ran uszło, a żyd arendarz w sztuce lekarskiéj biegły, słabą nadzieję wyzdrowienia rokował — jednak kozak nalegał, żeby go odwieziono do swoich — chciałby jeszcze dziś być w domu. I obiecano mu nazajutrz.

VII.

Na łożu tureckim dywanem okrytem, w małéj alkowie leżała młoda kobieta. Twarz blada, ale piękna — na ręku maleńkie dziecię — ona je karmi. Młoda kobieta z dziecięciem u piersi, jakiż to obraz! Czy jest co piękniejszego w naturze? . . . . Ta Marya, którą tak cudnie włoski oddał pędzel, trzyma

dziecię na ręku. Młoda dziewica, jest to pączek róży; ale matka — jest to doskonałość, jest to ten piękny i pełny kwiat, najpiękniéjszy jeszcze, gdy świeżo rozwinięty.

Patrz, jak ona troskliwie i ostrożnie z tą drobną obchodzi się dzieciną! I któż ją tego, uczył? .... macierzyńska miłość.

Czy ty wierzysz w miłość? ....

Jak ona się w nie patrzy, jak ona je umie pojmować, jak ona z niem razem czuje, z niem płacze i z niem się razem uśmiecha! Każde poruszenie téj drobniutkiéj twarzyczki w jéj się rysach odbija; ona się z niém współczuciem rozumie.

Bo między matką a niemowlęciem natura sympatyczną rozciągnęła wstęgę.

Otóż i dziecię usypia. Ona wstrzymuje oddech, aby go nie budzić. Ale służebna może nad niem czuwać; ty uśnij matko — jesteś nazbyt słabą, potrzebujesz spoczynku.

Przed dom zajechał wóz. Na wozie siedział kozak, ramię i głowa podwiązane, twarz wycieńczona, osłabła. Idzie wolno, jeden wieśniak podpiera jego wątłe kroki.

Pyta o żonę — usnęła .... Niech śpi — on siądzie obok niéj, na jéj oczy będzie słodkie sny zwoływał. Chce być pierwszym, którego obudziwszy się ujrzy.

Zapewne sen ożywia ją i pokrzepia, bo blade lica żywy szkarłat oblał. Jakieś wyrazy niezrozumiałe z ust jéj wychodzą.

Nie jest to sen cichy, spokojny: sen matki, sen małżonki. Nad jéj łożem nie ulatują owe lube marzenia, owe sylfy, co niebieską wonią otaczają łoże, śpiącéj do ucha szeplenią o dziecięciu i mężu powiastki, co lekkiem skrzydłem natrętne zdmuchują troski.

To jakiś gorączkowy szał; jéj rumieniec nie rumieńcem zdrowia — to jakaś chorobliwa cera. Jak ona się wije po łożu! jéj sny muszą być przykre, bolesne. Mąż błędnemi oczyma spogląda na nią. Czy ma ją obudzić? .... waha się — ale cyt! ... cóś mówi .... nie podobna zrozumieć — ręce jakby do błagania złożone ....

»Zlituj się!« .... tyle można słyszeć. Wkrótce rzuca się i krzyczy. On się nachyla, musi jéj przerwać sny tak niespokojne, śpiąca podnosi pięść ściśniętą, drzy cała, muskuły jéj ręki wyprężone, — on pocałowaniem ją zbudzi — to jéj zrobi przyjemność — ot, już się ma dotknąć ustami jéj ust — ale ta krzyknęła przeraźliwie: »Wróć mi ojca morderco!« wzniesioną ręką uderza w piersi schylonego — i budzi się — »O Boże! jakiż sen okropny!« — »Anusiu!« — »To ty? o, ochłonęłam z pierwszego przestrachu.« — »Tyś chora — ty masz gorączkę!« — »O, nie! to tylko sen miałam, sen okropny, straszny! nie mogę się jeszcze uspokoić, uściskaj mnie, to przeminie!«

Kozak stał blady, bledszy jak chusta. Co on powie żonie? .... Ona już wie zapewne — pomyślał — i w jego serce wszystkie na raz bóle wpadły.

Chora oddychała ciężko i szybko — jéj oczy jakby bielmem powleczone — obłędno, niespokojnie rzucały wzrok do koła.

»Co tobie Stasiu? .... co? krew? .... tyś ranny? .... ha! .... przypominam sobie« — rzekła z wolna — »tyś się bił! .... Słuchaj Stasiu, tyś zabił mojego ojca!«

»Powiedz, powiedz! mój kochanku! mój mężu! pójdź! uściskaj mię!«

Stanisław drżał jeszcze i osłabszy, wsparł się o mur.

»Ha! morderco!« zawołała z szaleństwem, »tyś zamordował ojca mojego! — krew! krew! — uciekaj!

Wyciągnęła obie pięści — skulone palce drżały konwulsyjnie — i tak wypadła z łoża, twarzą na ziemię, za nim Stanisław mógł przyskoczyć na pomoc. Nieszczęśliwa! twarz i ręce miała skrwawione. Złożono ją na łożu, — gorączka trawiąca niszczyła jéj ciało. Żadna pomoc lekarska nie zdołała chwil jéj życia przedłużyć — w kilka dni umarła ...

I któż jéj doniósł o śmierci ojca? .... Czy ty wierzysz w przeczucie? .... w objawienie? ....

»A Stanisław?« zapytano mię.

»O Stanisławie — rzekłem — wieść niesie, iż kiedy Chmielnicki poddał się carowi, syn niegdyś starościńskiego marszałka schronił się na Litwę i tam żył niepoznany; aż potém wstąpiwszy w hetmańskie pułki jako szeregowiec, poległ w wojnie tureckiéj.

A. Sz.......

Krytyka.

Życie i przypadki Faustyna Felixa na Dodoszach Dodosińskiego przez nieznajomego Autora, wydane z rękopismu w Wrocławiu, 1838.

(Dokończenie.)

Podczas gdy professory się naradzają, Wacław starościc, sprawca bitwy, z Faustynkiem uciekają z karceresu i przybywają do starego szlachcica Dulskiego, ziemianina, mie-

szkającego z tamtéj strony Bzury, który ma ładną córkę Anielę. Téj Anieli ma się zalecać Faustynek, bo mu tak kazali rodzice, ale go ubiega Wacław; obszerny i dość szczęśliwy opis wiejskiego mieszkania Dulskiego: dworek oparkaniony, w środku podworza lipa, sad, ogród, na lewo lamuz, z którego Aniela właśnie mleko niosła, a ujrzawszy Wacława, zmieszała się i rozlała na ziemię. Uczęstowani goście starym miodem, opuszczają szlachcica i jego piękną córkę, i przychodzą do rodziców Faustynka, Państwa Dodosińskich na Dodoszach; smutny obraz nierządu u zagrodowéj szlachty.

Pan Dodosiński wjechał właśnie na podworze z furą żyta i zrzuciwszy je wraz z parobkiem do stodoły, przyszedł spocząć na kamieniu przed domem i zawołał głośno:

»Basiu, wynieś mi tam podwieczorek! sera, chleba i dzban piwa, bom się spracował.«

»Widzisz go,« odpowiedziano z domu, »spracował się i jeść woła! Raz ci się zdarzyło wziąść się do roboty, i już się chwalisz, jak gdyby to zawsze było.«

»Ja się nie chwalę, tylko wołam jeść i pić, bom głodny.«

»A dałżeś mi na ser, na chleb i na piwo?« rzekła, wynosząc kawał czarnego chleba i pół krajanka zeschłego sera i trochę kwaśnego piwa pani domu.

»Teraz przednówek,« dodała, podając mu wszystko: »gdybym ja nie pamiętała o wszystkiém, tobyśmy dawno już byli z torbami poszli. Żebyś ty się też kiedy szczerze czém zajął: spojrzyj w koło siebie, wszystko się wali, nigdzie nie masz ogrodzenia, poszycie dziurawe, a rola uprawiona, Boże zmiłuj!«

»Ej! co mi tam, niech się dzieje, co chce, mnie przecież chleba nie braknie, bo mam łaskę u panów.«

»Ale pamiętaj na to, że masz syna!«

»Faustynkowi bieda nie dokuczy, bo mi cyganka powiadała, że będzie szczęśliwym, i dla tego nazwałem go Faustynem Felixem; ale ty tego nie rozumiesz, a ja, który doszedłem dawniéj aż do grammatyki, wiem dobrze, co to znaczy Faustus i Felix, i dla tego się nie troszczę.«

»Ale ja się troszczę, bo już wyrósł chłop jak dąb, a jeszcze nie umie zarobić na kawałek chleba, i nie wiem, czego siedzi w téj szkole, gdzie się nawet niczego nie uczy.«

»Wiem, czego on tam siedzi: czy się uczy, czy nie, to wszystko jedno, będzie on panem, mówię, i kwita.«

»A tobie w głowie świta! lepiéjbyś był oto zrobił, gdybyś go był oddał w termin do jakiego rzemieślnika.«

Na te słowa zerwał się Pan Dodosiński, zachłysnął się piwem, odkaszlnął kilka razy i ozwał się groźno: »Co waśani mówisz, pani Dodosińska? Czyś to zapomniała, żeś moją żoną i matką Faustynka? Czy nie wiesz o tém, żem ja szlachcic, i mój syn także.«

»Cóż z tego?« powtórzyła w gniewnym tonie pani Dodosińska: »goły szlachcic gorszy od bogatego żyda.«

Tym ostatnim argumentem zbiła zupełnie z nóg swego mężulka pani Dodosińska, i zamknęła mu gębę; uznając więc wyższość swéj godnéj połowicy, nuż z nią w dobry sposób: przedstawia jéj, że go chce oddać na dworzanina do pana Starosty. Cóż było począć? synal wyrósł jak drab, nic nie umiał, niczego się nie nauczył; a zatém dworzanin.

Treść powieści dalsza taka: Wacław z famulusem Faustynkiem przybywa do swego ojca, pana Starosty i trafia właśnie na walną pijatykę. Ojciec nie wysłuchawszy zbiegów, każe ich więzić, syna w sypialnéj komnacie, Faustynka w spichrzu osadzić; lecz nazajutrz wytrzeźwiawszy i dowiedziawszy się o wszystkiém, przebacza synowi, a Faustynka w dowód szczególniejszéj łaski pokojowcem swym robi.

Dość śmiesznie, chociaż trochę nienaturalnie i jak gdyby kogo naśladował, opisuje autor wyprawę wyrostka i wjazd jego z tatulkiem do dworu: poprzednio daje mu przestrogi, charakteryzujące dość wiernie życie dworskie: »Powiedzą ci,« naucza tu ojciec swego Faustynka, »że należy być układnym, przystojnym. To bajki: bo najprzód człowiek tak być musi, jak go Pan Bóg stworzył; a potém nie na tém sztuka przypodobania się, tylko na mądréj głowie. Powiedzą ci na wstępie do dworu, że masz być trzeźwym: to znowu bajki! trzeźwym u Pana Starosty! Ale czego ci nie powiedzą, a ja ci powiem, oto to: że chcąc mieć łaskę u pana, trzeba być pokornym, zwłaszcza z początku i gotowym na wszystko, skoro pan każe. Kiedy ci pan powie: Faustynku! palnij go! — zaraz na odlew; albo: Faustynku wypij duszkiem! — natychmiast co do kropli!«

»No! to dobrze,« przerwał syn, »póki idzie o wypicie i wybicie; ale kiedy tamten odda i może lepiéj?« — »To nic nie szkodzi,« rzekł ojciec. »Kto też to kiedy przyszedł do czego, co był łechciwych pleców, albo sztywnego karku? Otóż to mi się przypomniało. Oj! naucz się kłaniać, a nizko, do nogi, czapkę na dół! ot tak — do saméj kostki przykładać i mówić zawsze: Jaśnie wielmożny Panie! słucham Jaśnie wielmożnego Pana! dziękuję uniżenie Jaśnie wielmożnemu Panu! A pamiętaj, żebyś zawsze mówił: Tak jest! Dobrze! a nigdy Nie. Tego panowie nie cierpią, żeby człowiek chciał się spierać i miał swoje zdanie. Kto chce iść w górę, ten musi się chylić, póki na wierzch nie wlezie, a jak tam będzie, to się będzie mógł wyprostować.« — Otóż już nasz Faustynek został pokojowcem.

Pan Starosta wyjeżdża w sąsiedztwo z wizytą do Pani Chorążyny. Wjechało najprzód na dziedziniec kilka dworzan, sadząc na dziarskich koniach, za nimi pachołki; następnie biegł pieszo laufer w kołpaku, strusiemi piórami strojnym i z krótkim biczykiem w ręku; za nim wtoczyła się wolno w bramę dziedzińca ogromna poszostna kareta.

Powstał ruch nadzwyczajny i hałas w całym dworze. Faustynek zamiast zostać w przedpokoju lub w sieni, idzie z panami do sali, kłania się jak oni, i we wszystkiém ich małpuje; co naturalnie obudza śmiech w obcym domu, a zwłaszcza złośliwéj trochę Pani Podstoliny, bogatéj wdówki a córki Pani Chorążyny. Starosta rozgniewany, przeprasza damy, a nowicyusza marszałkowi oddać każe, aby go przykładnie ukarał. Faustynek wśród szyderstw innych dworzan ucieka. — Pani Podstolina nowomodna amazonka, zastawia sidła na Pana Wacława; ale ten zimny na jéj ogniste spojrzenia, Anielą cały zajęty, która niedawno weszła u niéj w służbę. Faustynek tymczasem wygłodzony, gdy deszcz padać zaczął, wraca napowrót z lasu do officyny i przestrasza (dość nienaturalnie) swém niespodziewaném zjawieniem służące. Nazajutrz odjeżdża pan Starosta z całym dworem; a Podstolina dowiaduje się od sług o romansie pana Wacława z Anielą Dulską garderobianą, i pęka z zazdrości, że pan Wacław mógł przenieść służącą nad panią. Podstolina na przekor starościcowi kojarzy ożenienie Faustynka z Anielą, wyprasza nawet od matki wiano dla swéj panny służącéj. Łatwo więc było skłonić pana Dulskiego, ojca panny Anieli. — Mróz styczniowy zakuł wszystkie szyby w chacie pana Dulskiego, wszędzie wymiecione, wymyte, ściany nowo pobielone; ogień trzaskał na kominie. Zajeżdżają tęgim klusem sanie kute; dzielne konie wilkami i dzwonkami przykryte, wszystko po pańsku. Faustynek Dodosiński zajechał na ślub z panną Anielą; ale nie sam, lecz w towarzystwie porucznika Srokosza, dworzanina pana Wacława, który niewiedzieć zkąd, jak najusilniéj popiera także małżeństwo Faustynka z Anielą i oto teraz swoim ekwipażem w konkury go wyprawił. Wkrótce jednak rozwiązała się ta zagadka. Nazajutrz zebrali się weselni goście, przybyli nawet grajkowie z Sochaczewa i zaczęli rzempolić taką melodyę, która wkrótce wywołała wycie psów podwórzowych. I nie długo wyjeżdżają do kościoła: Faustynek siada do sanek swoich, z nim porucznik Srokosz; za danym znakiem woźnica ruszył i wszystkie sanie wyminął, a pędząc przez zaspy śniegu coraz prędzéj, zniknął gdzieś w przyległym lesie. A goście weselni i młoda panna zajechawszy wśród szarugi do kościoła, napróżno czekali młodego pana. Bo jakże miał przyjechać, kiedy na sankach pana Wacława został uwieziony, a Srokosz był tylko wykonawcą danych mu rozkazów. Zawiózł go (zbyt romantycznym wymysłem autora) gdzieś daleko do klasztoru OO. Bernardynów i tam oddał w kuratelę mnichom jako szalonego; a ponieważ się Faustynek upił, sam nie wiedział, jak się tam dostał. Nie długo też tam bawił. Sprzykrzywszy sobie klauzurę, taje-

mnie ucieka w habicie i dostał się szczęśliwie do karczmy, gdzie przez żandarma (anachronicznie) jako łotr przyaresztowany; ale chłopi przytomni bronią go, a raczej jego sukienki; następuje pijatyka i znajomość ze szlachcicem assessorem Skrzynkowym (woźnym), który, spostrzegłszy u Faustynka rolkę dukatów, z awantury nocnéj miłośnéj oblowionych, przywięzuje się do niego i towarzyszy mu do miasta. Rzecz osobliwa, że woźny litewski, bo tam się Faustynek znajdował, nic nie wie o Sochaczewie, dokąd Faustynek prowadzić się każe.

Podstolina dowiedziawszy się o wszystkiém, pałała gniewem i zemstą, skarży Starostę i Wacława u Grodu o wiolencją, o porwanie dworzanina Dodosińskiego i wyjeżdża w tym interesie do Grodna. Tym czasem pan Dodosiński, przybrawszy dla niepoznaki inne nazwisko Siński, dostaje się dość dziwnym sposobem do dworu pana wojewodzica, któremu pieniędzy pożycza. Daléj różne przeszedłszy koleje, za sprawką pana Wacława, chcącego próżną kobietę upokorzyć, zabiera z nią znajomość; okrzesany i niepoznany kawaler pozyskuje jéj względy, a wreszcie i rękę. Poprzedza miłośna w jaskini awantura. Wraca ze swą małżonką panią Podstoliną do Łowicza; tu odkrywa się wszystko — żona odjeżdża, a Faustynek wraca do pana Wacława, męża Anieli.

Przy końcu druku tego artykułu, wpadł mi w ręce 9ty poszyt Pamiętnika naukowego Krakowskiego, w którym bezimienny recenzent, zapewne wydawca, romans ten »liczy do małéj liczby pism tego rodzaju w naszym języku, mogący pod każdym względem zadowolnić czytelnika.« Zdanie tak ogólnie wyrażone, nie wytykające ani wad ani zalet tego pisma, sądem właściwie nazwać się nie może, i wątpię, aby do przekonania światlejszych czytelników przypadło.

S. T......

Doniesienia literackie.

O najnowszych dziełach w W. X. Poznańskiém z druku wyszłych.

Nieraz peryodyczne pisma krajowe sarkarły i dotąd sarkają słusznie na niedbalstwo księgarzy naszych, ich obojętność i nieznajomość rzeczy i własnego interessu. W Niemczech, Francyi, Anglii i innych oświeconych narodach, gdy się nowe jakie dzieło pojawi, exemplarze jego rozchodzą się natychmiast po wszystkich zakątkach kraju i przedzierają się nawet za granicę, albowiem tu księgarz jest sam znawcą i nakładzcą, i nie czekając aż który z kollegów jego dzieło z druku wyszłe zapisze, posyła mu je niebawnie. U nas wszystko przeciwnie się dzieje. Nasz księgarz niewie nawet co to jest być nakładzcą, a jeżli mu się zdarzy niekiedy co wydać, będzie to niechybnie elementarz, książka do nabożeństwa lub t. p. I nie dziw. Czyż potrafiłby ocenić inny produkt literacki człowiek, który tak książkami handluje, jakby tasiemkami, szpilkami i śledziami handlował, z tą jednak różnicą, że łatwiéj i prędzéj nabyć może wprawy i pewnego taktu w ocenianiu tych ostatnich towarów. Po takiém usposobieniu naszych księgarzy (wyłączamy tu jednakże kilku warszawskich, krakowskich, wileńskich i lwowskich) czyż można spodziewać się wzajemnego kredytu, owéj najgłówniejszéj rękojmi handlu, a następnie czyż można żądać spiesznéj cyrkulacyi książek? Ztąd też pochodzi, że częstokroć o wyjściu z druku najszacowniejszych dzieł w jednéj części Polski, dowiadujemy się w drugiéj po kilku dopiero latach. Nieraz nawet zdarzało się, że dzieło, które w Wilnie, Krzemieńcu, Połocku, Poczajowie lub w Lwowie z druku wyszło, nie postało nigdy w handlu księgarskim w Poznaniu. To niedbalstwo i niedolęstwo naszych księgarzy nagrodzić mogą w części przynajmniéj pisma peryodyczne, donosząc skwapliwie o każdém nowém dziele wyszłém w miejscu lub w okolicy, w któréj same wychodzą. Tygodnik literacki, którego jednym z głównych celi jest obeznawać przez rychłe doniesienia, i obszerniejsze wyciągi z ważniejszych dzieł, z postępem i duchem literatury naszéj; prócz umieszczanych dotąd doniesień o wyjściu pojedyńczych dzieł, podawać odtąd będzie co pół roku przynajmniéj spisy dzieł w polskim języku lub o Polsce traktujących, w Wielkiém Xięstwie poznańskiem, Śląsku, lub Prusach zachodnich wyszłych, zaczynając od następującego spisu wyszłych w tych stronach dzieł w roku 1837. i 1838.

a) Z Historyi:

Pamiętniki do panowania Augusta II., przez niewiadomego autora (podobno Erazma Otwinowskiego), wydane z rękopisma przez E. Raczyńskiego, w Poznaniu 1838.

Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska, wydane z rękopisma przez Edw. Raczyńskiego. W Poznaniu 1838. (Wydanie II.)

Poselstwo od Zygmunta III. króla polskiego do Dymitra Iwanowicza, cara, wydane z rękopisma przez E. Raczyńskiego. W Wrocławiu 1837.

Dziennik podróży Józefa Kopcia, wydany z rękopisma przez E. Raczyńskiego. W Wrocławiu 1837.

Wkrótce wyjdą z druku w Wrocławiu: dwa tomy ważnego bardzo dzieła o medalach polskich przez Hr. E. Raczyńskiego.

W druku są: *Kodex dyplomatyczny Wielkiéj Polski*, przez Hr. E. Raczyńskiego.

Wyprawa G. Dąbrowskiego do Wielkiéj Polski w r. 1794. wraz z Autobiografią Dąbrowskiego.

Obraz historyczno-statystyczny miasta Poznania, przez Łukaszewicza, 2 tomy. Wyjdzie na S. Michał r. b.

b) Z filologii i pedagogii:

Biblioteka klassyków łacińskich na język polski przełożonych. (Wydana przez Hr. E. Raczyńskiego) w Wrocławiu 1837. 3 tomy. Obejmuje przekład dzieł Pliniusza młodszego przez Romana Ziołeckiego.

Elementarbuch der polnischen Sprache zum Gebrauch der Schulen von A. Poplinski. 1837.

Wybór prozy i poezyi polskiéj dla klass najniższych gimnazyalnych i wyższych szkół miejskich, wydał A. Popliński. W Poznaniu 1838.

Nowe wypisy polskie, zawierające historyą prozy polskiéj, w Lesznie u Güntra 1838.

Magazyn powieści dla dzieci. W Poznaniu 1837. (Kilka tomików.)

Theoretisch-praktische Grammatik der polnischen Sprache, von Johannes Biernacki. Breslau 1837.

Tegoż: Aufgaben zur Einübung der polnischen Grammatik. Breslau 1838.

Słowniczek nowy polsko-niemiecki. Posen 1837.

Nowa biblioteczka poświęcona dzieciom i młodym panienkom, przez autorkę Pamiątki po dobréj matce. W Wrocławiu, nakładem Zygmunta Schlettera, 1838. r. 2 tomiki. Pierwszy tom zawiera: *Życie S. Elżbiety, królowéj węgierskiéj*; drugi powieści i komedye dla dzieci.

Pod prasą znajdują się w Poznaniu: *Przekład historyi naturalnéj Pliniusza starszego*; w Wrocławiu: *Przekład dzieł Katulla, Tybulla i Propercyusza.* Przekłady te należą do Biblioteki klassyków łacińskich, wydawanéj przez Hr. E. Raczyńskiego.

Dykcyonarz polsko-niemiecki K. Trojańskiego, którego druk wkrótce ukończony zostanie.

(Dokończenie nastąpi.)

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*

Redaktor: *A. Woykowski.*